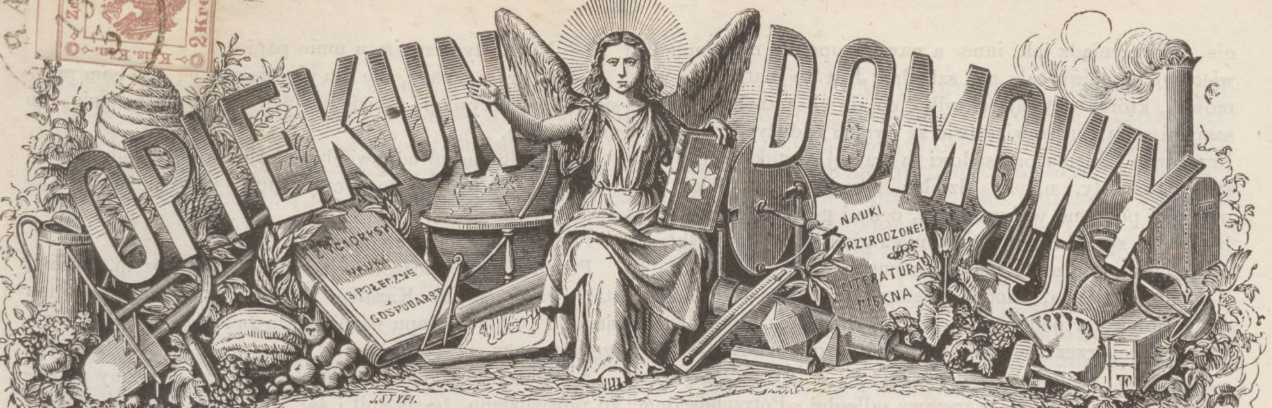


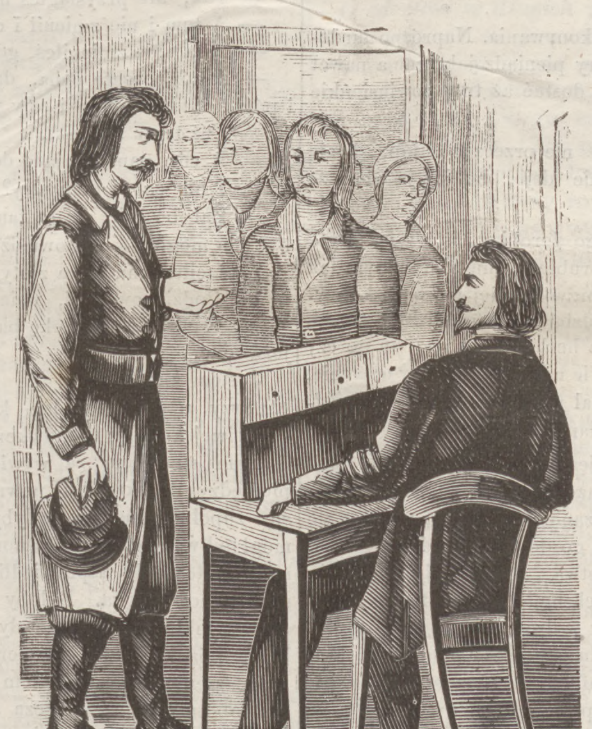
Warszawa dnia 28 Lutego / 11 Marca 1868 roku.

Nr 10. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.

WYPŁATA ZA NAJEM.

Co tygodnia w każdej z naszych wiosek odbywa się nieraz już piórem i ołówkiem scharakteryzowana scena wypłaty robotnikom, jaką tu na załączonym obrazku widzicie. Dla tego, kto jest głównym aktorem tej sceny, kto sprawdzając tygodniowe wykazy robocizny, ma całej gromadce pracującej rozdać wynagrodzenie za tydzień jej znoju, nie jest to bynajmniej czynność tak łatwa i prosta jakby się na pozór zdawało. Nie dość bowiem zapłacić, trzeba jeszcze przekonać że się zapłaciło słusznie; trzeba każdą niesłuszną pretensją oddalić tak, ażeby w myśli robotnika nie pozostało nawet podejrzenie że jest skrzywdzonym; trzeba z wszystkiemi postąpić według najściślejszej sprawiedliwości i dać im widzieć, że się dla pojedynczych nie ma szczególnego faworu, inaczej choćby nie zaraz powstał krzyk na krzywdę, zaraz przecież zrodziłaby się niechęć, nieżyczliwość, uprzedzenie. Dokazać tego wszystkiego nie można bez znacznego zapasu cierpliwości i dobrej woli, bez szczególnej umiejętności przemawiania do prostych umysłów. Można wprawdzie ofuknąć się i krzykiem zastąpić rozumowanie, można w słusznem poczuciu własnej sumienności dać każdemu to co zarobił i nie wdawać się w inne objaśnienia oprócz słów: „tyle ci się należy i basta”—ale takie szorstkie obejście targa węzły przychylności i sympatji, jakie między dającym pracę a wykonywającymi ją—jeżeli już nie z innych pobudek, to z dobrze zrozumianego obustronnego interesu—istnieć powinny.

Ztąd płacąc robotnika, potrzeba mieć na uwadze przedewszystkiem to, że nie jest on biegłym rachmistrzem i że tak jak każdy w ogóle człowiek raczej na swoją korzyść jak na niekorzyść liczy. Gdy się pomylił w obliczeniu swego zarobku, lub gdy sądzi że mu się uda więcej policzyć jak zarobił, trzeba go naprowadzić na to, żeby sam swój błąd spostrzegł, albo nieusprawiedliwioną pretensję cofnął. Takim tylko sposobem, drogą przekonania a nie opryskliwości, wpoić można w każdego przeświadczenie, że mu krzywdy nie zrobiono i wyrobić sobie opinję sumienności i dobrej wiary. Niech pod jednym albo pod drugim względem cień podejrzenia w gronie robotników powstanie: odbije się to zaraz ze stratą właściciela na niechęci z jaką praca wykonywaną będzie—tego więc przedewszystkiem unikać należy.



Wypłata za najem. (Rys. ś p. Domaniewski, wyciął na drz. Rutkowski).

O ile to jest możebnem, stosować się trzeba także pod pewnym względem do przesądów i szczególnych upodobań wieśniaka. Lud prosty ma z natury skłonność do oszczędności; z pieniądzem, jeśli go za pieniądz uznaje i jeśli w nim widzi rzeczywistą wartość, rozstaje się z wielką trudnością. Piękną sztukę monety, srebrnego rubla lub pięciozłotówkę, raczej bezużytecznie w ziemi zakopie, albo też przez długie lata w skrzynce więzić będzie, niż puści marnie w karczmie albo na jarmarku. Uważaliśmy, że ile razy przyjdzie wieśniakowi poruszyć tak nagromadzone srebro, tylekroć zawsze używa go produkcyjnie na kupno krowy, wieprzaka lub tym podobny wydatek. Z drugiej strony, lud ten jest słabym i karczma wiele ponęt ma dla niego. Dla zwalczenia więc pociągu do oszczędności, chwycił się przesądu starannie pielęgnowanego i krzewionego przez niesumiennych karczmarzy i wmawia w siebie, że drobna moneta lub papierek, to

nie taki pieniądz jak inne a nawet zupełnie nie pieniądz, więc go przepić wcale nie szkoda. Jest to naturalnie wymówka, której używają ci tylko, co się chcą zasłonić przed samymi sobą i usprawiedliwić ze swoich nadużyć i zbytków. Przeciwko takiemu przesądowi a raczej pretekstowi pijaństwa i rozpusty, należy działać łagodną perswazją, ale najlepiej podobno wpływać nań, o ile i gdzie to się da zrobić, dając sposobność dogodzenia raczej pożytecznej skłonności do oszczędzania, niż zgubnemu pociągowi do wódki.

O ile perswazja, choćby najstaranniejsza i najżyczliwsza, mało wpływa w podobnych razach, dowodem niech będzie następujące przez nas samych doświadczone zdarzenie.

Było to w dzień Zwiastowania N. P. M. na stacji pocztowej o parę mil od Warszawy odległej. Potrzebowałem słomy, czy też chciałem skorzystać ze sposobności nabycia jej od wieśniaka, który w tym dniu uroczystym po południu wiózł ją do Warszawy na sprzedaż. Zawołałem go. Słoma była drogą w tym roku, zgodziliśmy się dukata za kopę, znajdującą się na wozie, targiem dla obu stron korzystnym: ja bowiem nie płaciłem drożej nad cenę miejscową, a właściciel słomy choć mógł prawda dostać nieco więcej w Warszawie, ale straciłby przy tem cały dzień następny, gdy tymczasem po dobitym targu tej nocy jeszcze mógł wrócić do domu.

Przyszło do wypłaty. Dałem mu trzyrublowy papierek.

— Dwa złote reszty to ja mam — rzekł na to, — ale niech mi pan lepiej zapłaci srebrem, bo papierek to ja zaraz przepiję co do grosza.

Nie pomogły perswazje i przekonywania. Napróżno mu dowodziłem, że papierek tak dobry pieniądz jak inne a nawet lepszy, bo za jeden można dostać aż trzy nowiusieńkie ruble.

— To ci ja wiem — rzekł nie przecząc chłop, — ale przecie niech mi go pan nie daje, bo już ja wiem że przepiję.

Żal mi się zrobiło ciężkiego dorobku, który mógł tak pójść na marne, ale o srebrne ruble równie trudnobyło jak o słomę, (było to w r. 1854) przynajmniej w owej okolicy. chciał, że jeden z sąsiadów, dzierżawca pobliskiej wioski, Przypadek zajechał do mnie na herbatę. Zapytałem go czy nie ma przypadkiem srebra. Nie miał; lecz starszy odemnie, posiwiały na wsi wśród ludu, miał nierównie więcej doświadczenia i umiejętności przemawiania do włościan.

Zaczął do chłopa mówić językiem, który go wzruszył. Przemowa zaczęła się od wyrazów, że dla marnego zysku gwałci uroczyste święto, że zaniedbuje pole i puszcza się na handel i spekulacje, które go do tego tylko prowadzą, że ma więcej okazji do pijaństwa, że na miejscu u siebie dostałby za słomę i kilka złotych mniej, ale za to nie zmordawałby konia i nie straciłby w drodze pieniędzy i czasu. Następnie przeszedł do wykładu o wartości pieniędzy. Mówił z taką prostotą i tak trafnie, że chłop się rozpłakał jak dziecko, ukląkł, palec na palec założył i przysiągł: że papierka zmieniać nie będzie.

Po takiem przyrzeczeniu zapłaciłem mu, schował papierek i wyszedł, nie siadał jednakże na wóz, tylko kiwnął na pocztyljona, który mu pomagał składać słomę i skierowali się ku karczmie.

— A gdzie to idziecie gospodarzu? — zapytałem wychodząc za nim.

— I! to ta, proszę pana — toć muszę pocztyljonowi wódki kupić za to, że mi pomógł zdjąć z woza....

— A przysięgliście, pamiętajcie....

— Boga-ć nie, proszę pana, co przysiągłem dotrzymam, papierka nie zmienię, a z nim tylko półkwaterek wypiję....

— Więc macie drobne na to?...

— A juści, panie, mam.

— No, to tymczasem u mnie papierek zostanie....

— U proszę pana, nic mu się nie stanie, a ja com przysiągł, tom przysiągł, powiedziałem, że go nie zmienię, to nie zmienię.

Cóż było na to odpowiedzieć. Chłop był panem swojej woli. Nakazałem tylko pocztyljonowi natychmiast wracać do domu.

Pocztyljon wrócił, ale sam.

Późno jeszcze wieczór wyjrzałem. Koń z wozem, głodny, stał przed stacją. Kazałem go wziąść do stajni, dać mu siana i wydać chłopu na pierwsze żądanie, jeżeliby przyszedł w nocy.

Nazajutrz właściciela konia nie było. Z karczmy mi tylko powiedziano, że się spił i śpi. Nie było wątpliwości, że wyjdzie bez grosza. Koń jego stał ciągle na stajni.

Tego dnia właśnie potrzebowałem koni do zwózki siana z miejsca o milę odległego i gdyby się zdarzyło tanio wynająć, byłbym wynajął jednego lub parę. Kwakier jaki nie byłby się uważał za upoważnionego do rozporządzenia cudzą własnością, jam sądził że mnie okoliczność rozgrzesza. Kazałem konia zaprządz i użyć. Poczciwe zwierzę pracowało, podczas kiedy pan pił.

Na trzeci dzień dopiero z rana, chłop wyszedł z karczmy i jak się domyślać należało wyszedł bez szeląga.

Zacząłem mu robić wyrzuty o niedotrzymanie przysięgi.

— Oho! panie — odpowiedział, — albo to ja nie dotrzymałem słowa, powiedziałem: że przepiję i przepiłem.

— Tak, ale przysiągłeś mi że papierka nie zmienisz....

— A tom i nie zmienił i co!

— Jakto nie zmieniłeś, gdzież go masz?....

— A cóż, proszę pana, dałem karczmarzowi całusieńki i pótym siedział dopóki cały nie poszedł.

— Cóż teraz zrobisz?....

— A cóż, panie, pojadę do domu.. .

— I nie żal ci pieniędzy?....

— Żal bo żal, ale co tam.... papierek.... to już inaczej być nie mogło — odpowiedział z przekonaniem.

Zapłaciłem mu kilka złotych, które koń zapracował dla niego. Podziękował mi, wsiadł na wóz, zaciął konia.

— Wiu!... a wytłukę babę jak przyjadę, — rzekł odjeżdżając.

Jestem przekonany, że *tego* słowa dotrzymał i przyjechawszy użył pięści lub kija, żeby zapobiedz słusznym poczciwej kobiety wymówkom.

Tym sposobem za wywiezioną z domu słomę, zamiast pieniędzy do skrzynki powróciły siniaki i guzy, a stałoby się zupełnie inaczej, gdybym dogadzając jego fantazji mógł był wypłacić mu taką monetą jak chciał i odjąć tem samem pretekst do usprawiedliwienia przed sobą samym swego marnotrawstwa. Byłoby wówczas kilka rubli przybyło do skrzynki, za niemi poszły by inne, a przy nich łatwiejby się później mogły i papierki utrzymać.

Zdarzenie to przywiodłem tu na dowód, jak daleko płacąc robotnikowi, zwłaszcza stojącemu jak nasi wieśniacy na bardzo niskim stopniu oświaty, zwracać trzeba uwagę na wszystko co go dotyczy, na jego sposób życia, zwyczaje, przesądy. Pamięć o niejednej drobnej okoliczności, na którą ściśle biorąc zdaje nam się że nie mamy obowiązku zwracać uwagi, jest już nieraz dla tych młodszych od nas umysłowo braci naszych, prawdziwem i nieocenionem dobrodziejstwem.

Ale nie tylko na wsi, w mieście także rozwaga i rozsądek połączone z dobrą wolą, kierować powinny wypłatą. Dzień tygodnia, w którym następuje wypłata, nie małe tu ma znaczenie. Płacąc w Sobotę wieczór, jak to jest niemal powszechnym w Warszawie zwyczajem, stajemy się mimowolną przyczyną, że najznaczniejsza część zarobionych pieniędzy idzie na pijatykę w Niedzielę i na tak zwane poniedział-

kowanie; gdyby wypłata miała miejsce we czwartek, największą jej część zapewne żony robotników wynosiłyby na targ, na zaopatrzenie domu w całotygodniowe potrzeby. Z tego już widać, jak zbawienny wpływ na ekonomję pracującej ludności wywrzećby mogła zmiana dnia wypłaty na pozór tak mało ważna.

Wołody Skiba.

JAKÓB COOCK.

(Dokończenie, patrz Nr. 9).

Pastor chętnie się zgodził na to i wskazał mu mieszkanie pani Walkerowej w Niukiestlu, a następnie pobłogosławiwszy go udał się w swą drogę.

W Jakóba wstąpiła jakaś nadzieja, szedł lekko i wesoło. W Niukiestlu stanął przed wielkim domem, na którego obszernym podwórzu kręcił się tłum majtków i robotników. W pośrodku przechadzał się jakiś poważny mężczyzna, wydawając rozkazy. Jakób domyślił się, że to musi być właściciel domu; stanął więc na uboczu i czekał aż się ułatwi. Zwolna wszyscy się rozeszli. Pozostał tylko pan Walker i jakiś ogorzały człowiek w odzieży majtka.

— Dziś więc z pomocą Boską puszczacie się na morze.

— Za godzinkę panie; mam tylko kłopot, umarł nam bowiem chłopiec okrętowy. Chciałem więc prosić o wyznaczenie innego.

Jakób usłyszawszy to, zapłonił się z radości, pobiegł do pana Walkera i zawołał:

— Ah panie! każ mnie zabrać, ja chciałbym być majtkiem; będę się dobrze sprawował:

— A któż ty jesteś?

Jakób, oddał pismo pastora i rzekł:

— Nazywam się Jakób Coock, mój ojciec jest zarządcą folwarku, mam już lat trzynaście, jestem najstarszy z dziewięciorga dzieci...

— Dobrze, dobrze, mniejsza o to—odpowiedział pan Walker z uśmiechem, słysząc jednym tchem wyliczane szczegóły. Dobrze, świadectwo pastora a mojego przyjaciela, wystarcza za wszystko. Janie! oto chłopiec okrętowy; miej o nim szczególne staranie.

Takim sposobem Jakób Coock został marynarzem. Okręt na którym rozpoczął służbę, służył do przewożenia węgli kamiennych. Po siedmiu latach pracy i nauki został majtkiem; następnie starszym majtkiem, a potem podmajstrzym okrętowym.

W r. 1755 w skutek wojny między Anglją i Francją, jak większa część marynarzy kupieckich, musiał i Coock przejść do służby rządowej, w której odznaczał się odwagą, gorliwością, przezornością i roztropnością—za co też wkrótce został majstrem okrętowym, z przeznaczeniem na okręt odpływający do Ameryki Północnej, dla wzmocnienia tamtejszej floty wojennej, działającej przeciwko osadom francuzkim. Tutaj Coock odznaczył się znakomicie spełniwszy trudne polecenie, jakie mu dane było z uwagi na znaną już jego roztropność i męztwo; czynem tym było nic więcej, tylko narysowanie mappy rzeki S. Wawrzyńca. Rzecz mała i wymagająca tylko pracy i cierpliwości, ale nie wczasie wojny i pod strzałami nieprzyjacielskich armat, które co chwila mogą zatopić łódź, robiącą wymiary głębokości rzeki;—mappa rzeczona wyszła z litografji i uważaną jest za najlepszą. Po zdobyciu Kwebeku, Coock całą zimę uczył się gorliwie jeometrji i astronomji. W r. 1762 odpłynął do New-Foundland, gdzie zdjął plan przystani Placencyjskiej. Podczas pobytu swego w r. 1765 na brzegach Nowej Ziemi, obserwował zaćmienie słońca i ztąd wyprowadził długość jeograficzną tej wyspy; napisana zaś w tym przedmiocie rozprawa, zjednała mu sławę wielkiego matematyka. Wydał także ośm mapp różnych wybrzeży morskich, dotąd jeszcze nieznanych. Jako podróżnik i jeograf, Coock przez nikogo nie został przewyższony. Od niego dopiero poczyna się nowa epoka w dziejach odkryć nowych krajów i narodów. W r. 1768 otrzymał stopień porucznika marynarki królewskiej. Zwiedził wyspy Oceanu Południowego, odkrył wyspy Othaitskie (1769 r.), oraz obszerne kraje Nowo-Zelandzkie i wiele innych, które zajął w posiadanie rządu angielskiego. Z podróży tej wrócił 1771 r. i otrzymał stopień naczelnego kapitana okrętowego czyli podkapitana, który równa się stopniowi pułkownika w wojsku lądowem. Tegoż jeszcze roku został dowódcą dwóch okrętów, składających wyprawę do bieguna południowego. W czasie tej podróży odkrył różne wyspy jak: Przyjacielskie, Dzikie, Sandwigskie, Nową Kaledonję i wiele innych. Po trzech latach podróży, powrócił do ojczyzny i mianowany został kapitanem okrętu, to jest tyle co jenerałem w wojsku lądowem, oraz Dyrektorem Szpitala Grynwiczskiego i Członkiem różnych towarzystw naukowych, za napisanie podczas tej podróży dwóch ważnych dzieł: *O przypływie i odpływie morza i O zdrowiu w długich podróżach morskich.* Oprócz tego wsławił się jeszcze tem, że odkrył sposób żywienia ludzi w czasie podróży morskiej, zabezpieczający ich od szkorbutu—śmiertelnej choroby, która często do owego czasu wytępiała całe osady okrętowe. W r. 1776 udał się w nową podróż na odkrycie przejścia z Oceanu Atlantyckiego na Spokojny. Zwiedziwszy rozmaite miejscowości, stanął nareszcie 1779 r. na wyspie Othaihi, należącej do archipelagu Sandwigskiego. Wielka z tego była radość niektórych znakomitych tamtejszych krajowców, gdy ujrzeli dawnego swojego znajomego. Ale nieszczęście mieć chciało, że oprócz różnych drobnych kradzieży, wyspiarze skradli także i łódź okrętową; dla jej odzyskania Coock zamierzył użyć podstępu. Będąc w takiej przyjaźni z królem Othaihijskim, że ten zwyczajem miejscowym przybrał sobie nazwisko Coocka a swojem dozwolił mu się nazywać, postanowił był zaprosić go na okręt a następnie zatrzymać do czasu, dopóki nie odzyska straconej łodzi. Udał się więc z zaprosinami z dwoma tylko oficerami i trzema majtkami. Król się zgodził, ale żona jego nie chciała zezwolić na to i tyle wymogła swemi prośbami i łzami, że Coock musiał pójść na okręt bez gościa. Tymczasem łodzie angielskie stojące u brzegu widząc jakieś niezwykłe poruszenie łodzi wyspiarskich, a następnie zdążanie ku sobie w sposób podejrzany, dały ognia. Zabito jakąś znakomitość wyspiarską. Wiadomość dostała się zaraz do wsi, którą Coock opuścił przed chwilą; puszczono się więc w pogoń za Coockiem. Jeden z towarzyszy jego strzelił na wiatr, ale zamiast postrachu, Othaihijczycy odpowiedzieli na to gradem kamieni i kilku z oszczepami rzuciło się wprost na tego, który dał strzał. Wtedy Coock strzelił i zabił jednego. Rozpoczął się bój—i Coock został zabity, z nieodżałowaną szkodą dla nauk jeograficznych i matematyczno-astronomicznych, licząc dopiero lat 50 skończonych. Po przywróceniu porozumienia i zgody zażądano zwłok, ale daremne były wszelkie starania; zaledwie kilka kości zdołano odnaleść. Na wieść o jego skonie cała Anglja okryła się żałobą, a Towarzystwo

Naukowe Londyńskie wybiło medal na jego pamiątkę. Wdowa zaś z sześciorgiem dzieci, otrzymała roczną pensję, wynoszącą około 12000 złp. czyli 1800 rubli.

Jakób Coock był mocnej i zdrowej budowy ciała; twarz miał posępną, a na niej znać było pracę, zamyślenie i ciężkie doświadczenie. W obejściu z ludźmi był małomówny i przystępny dla każdego.

Ad. N. Nąkęski.

POGADANKA O METEORACH.

II.

W parę tygodni po opisanej w pierwszej naszej pogadance rozmowie [1]), do drzwi nauczyciela R. znowu zapukali ciż sami chłopcy.

— Wejdźcie, wejdźcie — rzekł nauczyciel zamykając drzwi za dziatwą, zgaduję powód waszych odwiedzin, to ów meteor pewnie was tak zajmuje?

— Istotnie, panie profesorze, odpowiedział uczeń, chcielibyśmy się dowiedzieć bliższych szczegółów o nim, zwłaszcza, że już musi być wiadomo gdzie upadł, jak wygląda i jakie okoliczności spadnięciu jego towarzyszyły? Czytaliśmy wprawdzie o tem w gazetach, a mnie nawet i nauczyciele w szkołach objaśniali o tem zjawisku, ale przedmiot to tak ciekawy, że nigdy dość nasłuchać się o nim nie można.



Przebacz mi, Jakóbku! jestem bardzo zmartwiona.—(str. 66).

— Dobrześ powiedział, moje dziecię — odparł nauczyciel, zjawiska przyrody są niewyczerpaną skarbnicą dla umysłu ludzkiego, im więcej je badamy, tem większą podnietę czujemy do dalszego i głębszego badania. Chcecie wiedzieć gdzie aerolit upadł? Powiedziałem wam przed paru tygodniami na chybił trafił, że spadł on o jakie dziesięć mil od Warszawy. Otóż domysł ten okazał się prawdziwym, bo kamienie powietrzne spadły istotnie o dziesięć mil od Warszawy, w okolicach Gostkowa i Sielca w powiecie Pultuskim.

— Proszę pana profesora — zapytał młodszy terminator szewcki, więc to nie jeden był kamień?

— Ale gdzie tam, do samej Szkoły Głównej przywieziono ich 120...

— Eh, więc to nie prawda co Antoni mówił — wybąknął szewczyk, jakby kończąc sam z sobą rozmowę.

— I cóż ci ten Antoni mówił? — zapytał nauczyciel.

— Powiadał proszę pana, że do tego kamienia jak spadnie, nikomu przystąpić nie wolno....

— A to dla czego?

— Bo ścisła straż na około jest postawiona.

— Straż? — zawołał nauczyciel, z jakiej przyczyny?

— Bo w tym kamieniu, mówił stróż Antoni, ukrywa się wielkiej ceny brylant; ktoby go dostał byłby najbogatszym z ludzi. Ale to pewnie bajki...

— Najzupełniejsze, mój drogi; bo ani aerolit nic nie ma wspólnego z brylantami, ani też nikt go zgoła nie pilnuje. Zresztą, jakem wam mówił, nie jest to jeden kamień ale mnóstwo różnej wielkości odłamów kamiennych, rozrzuconych na przestrzeni 6 wiorst długiej a 2 szerokiej. Jedne z tych aerolitów dochodzą wagi dziesięciu funtów, gdy inne nie przewyższają kilku łutów. Profesor tutejszej Szkoły Głównej, p. Babczyński, wysłany na miejsce w którem spadły aerolity, zauważał, że wielkość tych kamieni zwiększała się w kierunku biegu meteora: to jest że naprzód sypały się małe kamyki, później coraz większe, a w końcu największe, bo dziesięciofuntowe.

— Wszak meteor ten biegł od strony południowo-zachodniej ku północno-wschodniej? zapytał — uczeń.

— Nie inaczej; widziano go w Krakowie, Toruniu, Gdańsku, a nawet w Petersburgu, Wiedniu i na Szlązku. A już ta sama okoliczność, że go widziano w tak odległych miejscowościach, przemawia za jego wielkością i świetnością. Nie byłto wprawdzie najświetniejszy meteor, ale to pewna że jeden z najświetniejszych.

— Więc bywały meteory świetniejsze od naszego? zapytał uczeń nie bez pewnego żalu.

— W Anglji widziano przed laty meteor prawie tak świetny jak słońce.

— I jaka może być wielkość takich meteorów? zapytał — ślusarz.

— Wielkość tę trudno dokładnie oznaczyć: raz, że szybkość meteora znaczna; powtóre, że zjawisko to jest krótkotrwałe. Przypuszczają jednak, że niektóre z nich przed pęknięciem, wyrównywają pod względem objętości kilku np. kościołom Święto-Krzyzkim.

— Ej, to już chyba do i nnych stosuje się meteorów—zauważył z niedowierzaniem ślusarz, ale nie do tego cośmy widzieli. Przecież to było małe jak księżyc...

— Dzieciak jesteś, odparł nauczyciel, alboż nie wiesz, że księżyc który się tak niewielkim zdaje jest cztery tylko razy mniejszy od ziemi? albož nie wiesz, że te wszystkie mirjady gwiazd, które ci się zdają nie większe od główek szpilki, są o wiele tysięcy razy większe od naszej ziemi? tylko skutkiem niezmiernej odległości, ciała te wydają się oczom naszym tak małe.

— Więc i meteory ukazywać się muszą w stosunkowo znacznej wysokości? — zapytał uczeń.

— Obrachowano, że średnia ich wysokość wynosi 60 wiorst. Dzięki tak znacznej wysokości, nadewszystko światłu, które wydają, można je widzić w znacznej odległości. Meteor, który się pojawił 1866 roku w dniu 30 Maja we Francji, był widziany w promieniu 80 wiorst, a inny meteor także we Francji, dostrzeżony został 1864 r. 14 Czerwca w odległości 600 wiorst.

— A i szybkość ich jest nader wielka—zauważał uczeń,

[1]) Patrz Nr. 6-ty Op. dom. z r. b.

ten któryśmy widzieli, był widzialny zaledwie w ciągu kilkunastu sekund.

— Rzeczywiście, szybkość ich bardzo wielka— ciągnął dalej professor. Zauważano bowiem, że meteory przebywają na sekundę 30,000 do 40,000 metrów, to znaczy, że szybsze są od lokomotywy i jaskółek przeszło 1,000 razy, a 100 razy prędzej biegą aniżeli kule armatnie. Skutkiem jednak znacznej wysokości, szybkość ta nie wydaje się oczom naszym tak wielka, owszem i w tegorocznym meteorze zauważano nawet pewną powolność, pewne opóźnianie się chwilowe; inne meteory jeszcze z dłuższemi przebiegały przystankami.

— Więc te zjawiska często się powtarzają?—zapytał się nieśmiało najmłodszy szewczyk. No proszę, a Antoni bajał...

— Cóż ci on takiego mówił?

— Że takie meteory pojawiają się co sto lat i że pojawienie się ich jest bardzo pożyteczne, bo oczyszczają świat z chorób a nadewszystko z cholery, której, jak mówił, nie będzie w tym roku.

— Czy będzie lub nie o tem Bogu tylko wiadomo, a człowiek choćby jak najbardziej mózg swój wysilał, nie dowie się co nań jutro przypadnie. Lecz co do meteoru, ten najmniejszego nie ma związku z cholerą, lub jakiemkolwiekbądź chorobami. Jest on takiem samem zjawiskiem jak deszcz, grzmot, tęcza i t. d., i tak jak one pochodzi z przyczyn czysto przyrodzonych. Co zaś do tego, że niby zjawisko to przytrafia się co 100 lat, jest to najwierutniejszy fałsz; raz, że nie ma prawie roku, w którymby jaki aerolit w różnych częściach świata nie spadł i nie został opisany; powtóre, że jeżeli aerolity rzadziej się przytrafiają, to natomiast meteory przelatujące ponad ziemią i gdzieś gasnące w powietrzu nader częstem i pospolitem są zjawiskiem, że wspomnę tu tylko gwiazdy spadające...

— Jakto - zapytali chłopacy chórem, więc i gwiazdy spadające także są meteorami?


Siadł nakamieniu i gorzko zapłakał (str. 66)

— Najprawdopodobniej— odrzekł nauczyciel, że oba te zjawiska jednej przypisać należy przyczynie. Gwiazdy spadające są to meteory niknące gdzieś w odległych przestrzeniach powietrza— i na odwrót, meteory są to jak się zdaje gwiazdy spadające, tylko w odległościach blizkich, sąsiednich ziemi. Zresztą są to jeszcze przypuszczenia, których rzeczywistości nie potwierdziła ostatecznie nauka.

— Pozwoli pan professor—zauważył uczeń, że zrobię jedną uwagę. Pan professor dopiero co mówił, iż meteory pojawiają się o 60 wiorst nad ziemią, a gwiazdy spadające zdają być w nieskończonej odległości.

— Mylisz się mój drogi, nie są one tak daleko od ziemi jak się zdaje. Niektóre z nich pojawiają się na wysokości pięćdziesięciu wiorst, gdy inne widzieć się dają niżej nawet jednej mili. Zresztą, za tożsamością meteorów i gwiazd spadających i to jeszcze przemawia, iż oba te zjawiska pojawiają się najobficiej w pewnych godzinach i porach roku. Ilość obserwowanych w ciągu nocy gwiazd spadających jest niezmiernie wielką, tak, że lekko licząc dwanaście gwiazd przypada na godzinę; wszakże największa ich ilość daje się spostrzegać 9, 10 i 11 Sierpnia, w którym to czasie spadają one miljonami. Ilość ich niekiedy tak jest wielką, że patrzącemu zdaje się jakby padał deszcz ognisty.

— Piękny to deszcz—zauważał starszy szewczyk, gdyby spadł na ziemię mógłby nie małych szkód narobić. Nieprawdaż panie professorze?

— Dla czegóżby nie. Wszak i w Piśmie Świętem wspomina Jozue o deszczu kamiennym, który poraził nieprzyjaciół Izraela; podobny deszcz we Francji zabił znajdującego się w stodole pasterza i wołu. Jeden zaś tylko kamień powietrzny spadając w 616 roku w Chinach, zgniótł wóz i zabił dziesięciu ludzi. Ku końcowi XVII wieku na statku hollenderskim dwaj ludzie, skutkiem upadku takiegoż kamienia, zabici zostali. W Medjolanie zaś jednocześnie prawie został zabity franciszkanin, i to przez mały kamień. Niedość tego, jeżeli meteor nie rozpęknie się w takiej naprzykład odległości jak tegoroczny to jest o trzy wiorsty od ziemi, ale sypnie na ziemię rozpalonemi jeszcze aerolitami, to te ostatnie mogą nawet i pożar wywołać, jak to miało miejsce we Francji 1835 roku, gdzie meteor spadły 13 Listopada zapalił stodołę słomą krytą, od której zajęły się inne zabudowania, które zgorzały wraz z inwentarzem i mieszczącemi się w nich zbiorami. Nie sądźcie jednak, by zawsze aerolity były w tak wysokim stopniu rozpalone, owszem bywały przykłady, że do rozłamów kamieni powietrznych nie można było zaraz po upadku dotknąć się, bo tak były zimne.

— I z czego to pochodzi, panie professorze?— zapytał uczeń.

— W przestrzeniach, w których prawdopodobnie ciała te powstają i krążą, niezmiernie nizka panuje temperatura i ztąd wnętrze meteoru bywa zimne, gdy przeciwnie części jego bliżej obwodu się znajdujące, będąc rozgrzane a nawet rozpalone przez tarcie, bardzo stają się gorące.

— Teraz dokładne już mamy pojęcie o tem pięknem zjawisku—rzekł uczeń, ale nie pytaliśmy się jeszcze jak wyglądają odłamy znalezionych aerolitów.

— Wszystkie one są pokryte czarną lub rudawą warstwą tlenku żelaza, z po za której dają się gdzieniegdzie widzieć cząstki czystego żelaza. W ogóle kształt ich przypomina kamienie rozsadzone prochem, o brzegach zaokrąglonych, z ukazującemi się nadto tu i owdzie zagłębieniami, które łatwoby wziąść można za odciski palcem zrobione.

— A prawdaż to, panie professorze, że tegoż samego dnia w Niemczech inny widziano meteor?

— Tak przynajmniej gazety donoszą; miał on spaść tegoż samego dnia o godzinie w pół do jedenastej w Baden-Baden, dokąd przybył od strony północnej, a więc wprost

z przeciwnej, aniżeli ten, który wywołał u nas takie podziwienie, przestrach i zajęcie. Meteor Niemiecki miał postać kuli, składającej się z massy podobnej do żuzla żelaznego, wielkość zaś jego dorównywała głowie dziecka; po spadnięciu żarzył się jeszcze przez kwadrans.

— Podobno i w Węgrzech dwa jednocześnie widziano meteory?—zauważył uczeń.

— Nie inaczej; były to te same meteory, z których jeden widzieliśmy tego dnia w Warszawie. Czy zaś drugi przeleciał o tejże samej godzinie nad nami, nie wiem—jedni bowiem tak, a drudzy inaczej utrzymują. Lecz co najdziwniejsza, to towarzyszące przejściu tych meteorów w Węgrzech okoliczności. Nazajutrz bowiem gdy w pewnej wsi pędzono krowy do wody, te z radośnym rykiem jęły śnieg lizać. Jeden ze zdziwionych tem ludzi przekonał się, że śnieg ten jest mocno słony. Po uzbieraniu i odparowaniu z pół kwarty śniegu, otrzymano ćwierć funta soli. Powiadają, że w ten sposób mieszkańcy okoliczni zaopatrzyli się solą na kilka lat.

— I prawdaż to panie professorze?

— Czy prawda — za to nie zaręczam, bom sam nie był przy tem, to jednak pewna, że w zjawisku tem nic nie masz nieprawdopodobnego. Zauważano bowiem, iż często współcześnie ze zjawieniem się meteorów, pojawiał się subtelny pyłek tejże samej lub podobnej natury co aerolity. Niektórzy nawet uczeni mniemają, że meteory przelatujące i gasnące w powietrzu, z których aerolity nie spadają na ziemię, są właśnie nagromadzeniem mniej więcej obfitem takich pyłków, krążących po wszechświecie. Pozostawiają one w powietrzu po za sobą świetne smugi, które nieraz dość długo trwają. Admirał Kruzensztern w swej podróży na około świata, obserwował taką smugę przez godzinę prawie. Co większa, po pęknięciu każdego niemal meteoru a między innemi i tego cośmy widzieli, zjawia się nad miejscem eksplozji chmurka mniejszej lub większej objętości—otóż chmurki te prawdopodobnie pochodzą z nagromadzenia tych pyłków. Zdarza się czasem, że pyłek ten pomięszany z deszczem lub śniegiem, spada na ziemię w postaci dżdżu lub śniegu krwawego. Zabobonne pospólstwo, przypisywało naturalnie to zjawisko nadprzyrodzonym przyczynom i uważało je za zapowiednię wojny lub moru.

— Ale zjawiska takie pewnie bardzo rzadko się przytrafiają?— zapytał uczeń.

— Bardzo. W ciągu długich dziejów świata, zaledwie kilkanaście było zjawisk tego rodzaju. Naturalista rzymski Plinjusz żyjący w pierwszym wieku naszej ery, wspomina o takim deszczu krwawym. W 472 roku spadł koło Konstantynopola pył czarny w wielkiej obfitości, który również jak wspomniany wyżej krwawy deszcz nastąpił po zniknięciu meteoru. W nowszych już czasach, po zjawieniu się meteoru w królestwie Hanowerskiem spadł w znacznej ilości czerwony i czarniawy pył, który tak był gorący, że palił deski drewniane. W roku 1813 we Włoszech spadł śnieg pomięszany z pyłem czerwonym, przy czem upadło kilka kamieni meteorycznych. W sześć lat później w Stanach Zjednoczonych Ameryki Połnocnej spadł czarny deszcz ze śniegiem, przyczem niebo się ściemniało, dały się słyszeć grzmoty i niby lekkie trzęsienie ziemi. Oto i wszystko moje chłopaki, co wiemy dziś o tych nadzwyczajnych zjawiskach! Cóż, może jeszcze o co chcecie mnie zapytać? Śmiało tylko, a chętnie podzielę się z wami swojemi wiadomościami.

— Dziękujemy panu professorowi— odpowiedzieli chłopcy chórem, wiemy już teraz co sądzić o tem zjawisku, a z biedy to i takiego co o tem nie ma wyobrażenia, potrafilibyśmy nauczyć.

— Dobrze, dobrze— rzekł nauczyciel, tylko nadewszystko nie dawajcie wiary takim mędrkom jak ów Antoni, którzy wszystko co przekracza granice ich pojęcia, radziby nadziemskim przyczynom przypisać.

Na tem się skończyła rozmowa o meteorach.

Rzemieślnik z Mostowej ulicy.

O RZEMIEŚLNIKACH.

I.

Pisano już wiele o rzemieślnikach. Wywołało to dosyć gawęd i złości, a skończyło się na niczem. Wszystko pozostało jak było, choć to przeszłe nosiło na sobie bardzo dużo złego. Sprawdziło się co powiedziano, że złe kroczy po szerokim i wygodnym gościńcu, a dobre wązką i ciernistą ścieżką musi się przedzierać. Ludzie do złego nawykają bardzo prędko; złe wsiąka w ich krew i tak się w nim rozmiłowują gorąco, że wolą sami narazić się na straty, wolą swych najbliższych korzyści przepomnąć, wolą nawet w brew dobra własnego kraju działać—aniżeli wyrzec się tego, co jest spuścizną wiekowych błędów, a co stoi obecnie wprost przeciw prawom Bozkiemu i ludzkiemu, wprost przeciw postępowi który wznosi narody i państwa.

W roku zeszłym pisma warszawskie dość żarliwie domagały się zmiany urządzeń rzemieślniczych. Krytykowano termina, szkoły, wyzwoliny i wiele innych urządzeń; rzemieślnicy się bronili, projektowano to i owo, ale w ogóle nic nie zrobiono i pisma przestały się już zajmować sprawą rzemieślniczą, zasadziwszy nowe sitko na kołek. Sprawa ta jednak jest bardzo ważną. Z 1,359,125 mieszkańców miast, najmniej połowa więc około 680.000 mieszkańców należy do rzemiosła; stanowi to blisko ósmą część ogólnej ludności Królestwa, że pominiemy rzemieślników zamieszkałych po wsiach. Sprawa więc rzemieślnicza obchodzi wprost ósmą część ludności Królestwa, a pobocznie obchodzi wszystkich, gdyż wszyscy mają stosunki z rzemieślnikami i im ci będą bogatsi i lepiej w swym fachu wykształceni, tem więcej zakupywać będą płody rolnicze i różne towary handlowe, tem lepszemi wyrobami zaopatrywać będą wszystkich mieszkańców i tem więcej będzie mógł kraj wywozić swych towarów za granicę, a tem samem będzie bogatszy.

Dla osiągnięcia atoli tego wszystkiego, potrzeba aby rzemieślnicy nasi: 1) znali dobrze swój fach, 2) aby miłowali pracę, 3) aby prowadzili się dobrze. Nie powiadamy, iżby i dzisiaj nie było między naszymi rzemieślnikami takich, którzy posiadają trzy te warunki dobrego rzemieślnika—ale większość, z bólem serca wyznać trzeba i znaczna większość, brakiem tych trzech przymiotów w większym lub mniejszym stopniu odznacza się jedynie. Nie są oni rzemieślnikami znającymi na równi z zagranicznymi wszystkie tajniki swego rzemiosła, ale są to raczej partacze czyli w języku rzemieślniczym *fuszerzy*, którzy nabyli trochę wprawy, trochę znajomości i osłonięci wyzwolinami od starszych zgromadzenia, robią aby zbył, aby wyżył i aby sprzedał. Nie mają oni żadnej nauki podstawowej, robią tak a nie inaczej dla tego tylko że tak inni robią, ale zapytać się ich dlaczego tak robią, dla czego takich materjałów surowych używają, dla czego takiemi a takiemi narzędziami posługują się—to tego wszystkiego nie są zdolni wytłumaczyć. Bez takich zaś wiadomości fundamentalnych, wszelka robota nie może być ni-

gdy doskonałą, a jest raczej robotą tylko na ślepo, a nie robotą uzasadnioną, pewną i trwałą.

Dalej powiedzieliśmy, że rzemieślnicy powinni miłować pracę, to znaczy że niedosyć poduczywszy się trochę rzemiosła pracować ot tak aby było na chleb, ale należy spostrzegać pilnie co tylko zrobiono gdziekolwiek lepszego w danem rzemiośle, ulepszenia te zaprowadzać u siebie, pracować samemu nad udoskonaleniem swych wyrobów i nakoniec nie wstydzić się pracy, która daje nam chleb i utrzymanie, wygodę współziomkom, a bogactwo krajowi. Jest bowiem bardzo wielu takich rzemieślników, którzy dorobiwszy się cokolwiek grosza przy warsztacie, zaczynają się wstydzić szydła, igły, hebla, lub młotka, zarzucają ciężki lecz uczciwy zarobek dla tego, że on wala ręce i twarz murzy, czoło rzęsistym skropla potem, a chwytają się innych lżejszych zarobków, a co więcej podług mniemań rzemieślików, niby wyższych, niby zacniejszych, niby szlachetniejszych zatrudnień, jak gdyby to nie każda praca, jeśli tylko nie jest ze szkodą bliźniego i obrazą Boga, niebyła pracą jednakowo wysoką i zasłużoną, jednakowo zacną i jednakowo szlachetną. Więc jedni z tych wstydzących się pracy warsztatowej rzemieślników biorą się do handlów z wiktuałami i norymberszczyzną; inni trochę zamożniejsi otwierają szynki i bawarje, jakby to było zasługą rozpajać ludzi, niżli im szyć buty, robić sprzęty lub domy stawiać, ostatni nakoniec najzamożniejsi, albo kupują sobie kamienice i żyją bezużytecznie w samej sile wieku rozdzielając czas pomiędzy piwiarnie i winiarnie a łóżko w domu, albo też którzy dumniejsi, kupują wsie i stają się obywatelami ziemskimi. A że ci nowi obywatele ziemscy znają się tak na rolnictwie, jak nieprzypuszczając sroka na astronomji, więc nic dziwnego, że po upływie niezbyt długiego czasu majątek zebrany na sprzętach, szczotkach, karetach lub świecach—rozpadnie się i zniszczeje na owcach, koniach, łąkach i lasach. Każdy powinien robić to co umie: kto się uczył tapicerstwa niech zostanie tapicerem; kto pieprz sprzedawał to niech go i nadal sprzedaje, a kto nauczył się robić koło roli, to niech robi w ziemi, bo jemu tylko ta ziemia wydać może plony. Do wszystkiego potrzeba nauki i wprawy, a pieczone gołąbki chyba już tylko w baśniach coś znaczą.

Trzeci nareszcie przymiot dobrych rzemieślników jest, aby prowadzili się dobrze. Pod tem określeniem rozumiem: rzetelność w stosunkach z publicznością, uczciwość w obchodzeniu się z robotnikami, akuratność w wykonywaniu podjętych robót, oszczędność i trzeźwość. Pod tymi względami bardzo wiele brakuje naszym rzemieślnikom. Ileż to słychać skarg ze strony publiczności na nierzetelne i nieakuratne postępki rzemieślników, ileż to procesów toczy się między rzemieślnikami a nabywcami ich wyrobów, lub też właścicielami surowych materjałów. Robotnicy użalają się bardzo często na nieludzkie postępowanie majstrów, a jako dowód że powód idzie od majstrów, niech służy ten fakt, że bardzo rzadko majster wypędza ucznia lub oddala czeladnika, a po największej części terminatorzy i czeladnicy sami opuszczają majstrów. Oszczędność jest także bardzo wyjątkowym przedmiotem rzemieślnika; zarobek idzie na pohulanki z towarzyszami lub z towarzyszkami i zawsze tak jest, iż grosz grosza goni. Największą zaś plagą rzemieślników polskich jest zamiłowanie wódki i bawara. Wieczór Sobotni, Niedziela i Poniedziałek; są chwilami pijatyki i próżniactwa, które nie tylko że niszczą całotygodniowy zarobek, ale na zarobek przyszły kładą ciężką prawicę długu, który często doprowadza rzemieślnika do kryjówek lichwiarskich, a następnie zrozpaczonych oddaje na pastwę szynków i bawarji, rzucając ostatecznie gdzie na barłóg pod strychem, lub do grobu jeneralnego na Powązkach....

Przyznawszy atoli, że większość naszych rzemieślników tak srodze jest upośledzona, wypada nam wskazać sposoby, któreby mogły wpłynąć na wydobycie się z tego upośledzenia, na otrząśnięcie się z tych łachmanów brudu, niemoralności i neuctwa. Że zaś każdy lekarz chcąc wskazać środki zaradcze przeciw chorobie, musi zbadać poprzednio jakie były przyczyny tejże choroby—tak samo i my, zanim wykażemy co nam przedsięwziąść wypada w naszym chorobliwym stanie rzemieślniczym, musimy poprzednio zbadać powody, które wpłynęły na ów stan rzemiosł i rzemieślników naszych. W następnym więc artykule pomówimy o tych powodach.

Aleksander Makowiecki.

Ulepszony zamek do tłomoków, saków i t. p.

Zwykłe zamki do tłomoków, saków i tym podobnych sprzętów podróżnych, nie osiągają w zupełności swego celu. Skutkiem giętkości wieka i ścian tłomoka, można wyjąć zawarte w nim rzeczy, bynajmniej nie naruszając zamka, który pozostanie tak dobrze zamknięty jak przed popełnieniem kradzieży. Nie jednokrotnie już dopuszczano się w ten sposób kradzieży, która bezkarnie uchodziła. Niedogodność tę usunął przyrząd, wynaleziony przez amerykanina Paddoka, który podajemy czytelnikom naszym w dwóch figurach. Zamek Paddoka tak jest prosty a zarazem praktyczny, że w powszechne za granicą wchodzić poczyna użycie. Urządzenie tego zamka na tem polega, że na zamykającym się brzegu wieka znajduje się żelazna linijka „A", opatrzona w całej długości w niewielkie buławki „BB", w pewnych odstępach jedna od drugiej umieszczone. Buławki te, wchodzą przy zamykaniu tłomoka w otwory „bb" odpowiedniej linijki „C", znajdującej się na brzegu samego tłomoka. Pod linijką „C" znajduje się fuga, w której za pomocą mechanizmu zamkowego posuwa się w tył i naprzód trzecia linijka „D" z otworami „EE", leżącemi bezpośrednio pod dziurkami „bb" drugiej linijki. Otwory „EE" są przedłużone w jednę stronę, w kształcie dziurek od zamka. Gdy się zamyka wieko tłomoka, buławki „BB" linijki „A", przechodzą tak przez otwory „bb" linijki „B", jak i przez otwory „EE" linijki „C". Obracając następnie kluczem w zamku, przesuwamy ruchomą linijką (w przedstawionym na rysunku wypadku, z prawej w lewą stronę); wówczas otwory „EE" mocno obejmują węższą swą częścią szyjki buławek „BB", tak że główki tych ostatnich zaczepiają się o linijkę, skutkiem czego wieko mocno się trzyma nie tylko w środku ale i z boków.

Wątpliwości nie ma, że przyrząd ten i u nas znajdzie zastosowanie.

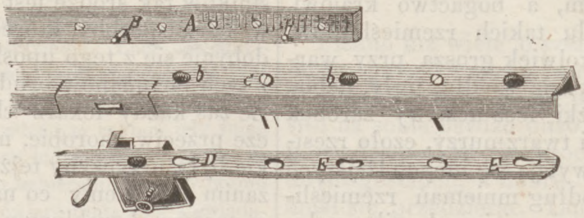
NOWOŚCI LITERACKIE.

Rodzina Romarhierta. Obraz z życia rzeczywistego, przez Marję Zofję z Birathów Szwartz. Przekład ze Szwedzkiego. Warszawa 1867 r. (Cena 1 rs. str. 510).

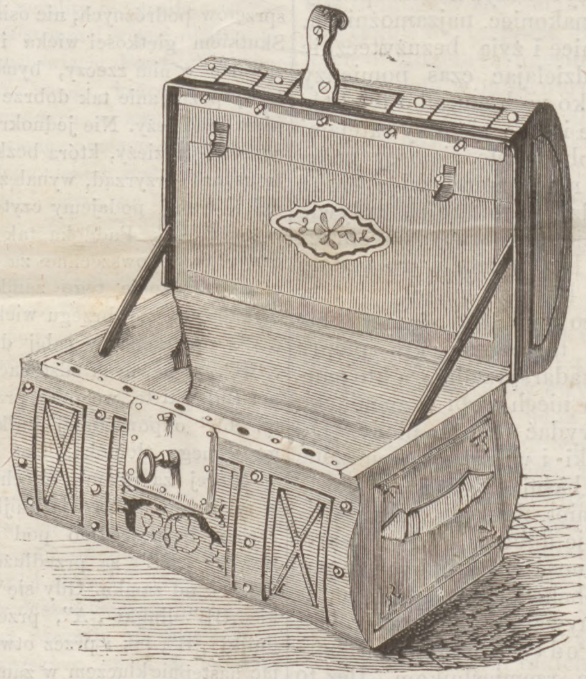
— Powieści dziś mamy wiele, więcej może nawet niż potrzeba, ale prawdziwie dobrych wyznać należy, iż bardzo mało posiadamy. Jedne z nich są zajmujące ale grzeszą przesadą, lub co gorsza jeszcze wykraczają przeciw

moralności. Inne przeciwnie bardzo są moralne, ale znowu tak nudne, tak ckliwe—że nikt ich nie czyta. Powieść więc, któraby umiała pogodzić te ostateczności, któraby zajmując nie gorszyła a więc nie nudziła, taka powtarzamy powieść, byłaby dziś niezmiernie pożądaną i na najsympatyczniejsze zasługiwałaby przyjęcie. *Rodzina Romarhierta* zupełnie odpowiada tym warunkom, i dla tego najusilniej polecamy ją naszym czytelnikom.

Treść tej powieści zaledwie słabe i niedokładne daje o niej wyobrażenie: Herman Hrabia Romarhierta, potomek znakomitego lecz zubożałego rodu, przez dziwny zbieg okoliczności których wyłuszczenie wieleby miejsca zajęło, zostaje zniewolonym do zaślubienia młodej i szlachetnej Eliny Martenson, córki bogatego dorobkiewicza. Nienawidząc swej żony za to, że wychodząc za niego ocaliła honor swego ojca i swej macochy i popsuła mu wszystkie szyki miłośnych intryg, zaledwie odprowadził ją od ołtarza, wnet odjechał i porzucił ją na zawsze. Opuszczona w ten sposób tak haniebnie nieszczęśliwa dziewica mężatka, znika na jakiś czas z widowni romansu i tylko głuche o niej wieści dochodzą do uszu dumnego a nieugiętego małżonka w ciągu dziesięciu lat. Po upływie tego czasu wielkie klęski spotykają naszego bohatéra, który zrujnowany do szczętu, pomimo splendorów swego rodu, widzi się zniewolonym zostać zarządzającym dobrami niegdyś własnemi, a obecnie nabytemi przez niejakąś Stefanją Stephenson, młodą i bogatą osobę przybyłą z Ameryki. Stefanja zaś jest szczytem kobiecej doskonałości: piękna jak bóstwo, rozumna jak Salomon, posiada wszystkie przymioty kobiece, nie przyswoiwszy sobie żadnej z ich wad. Nie dziw więc, że dziwna ta istota czarodziejski wpływ wywiera na Hermana, ulecza go ze wszystkich wad przywiązanych do jego stanu, czyni człowiekiem pełnym poświęceń i zapału. Nie potrzebujemy mówić, że Herman najgwałtowniejszą zapłonął miłością ku Stefanji, ale miłością zdolną do poświęceń i zaparcia. W imię właśnie tej czystej, świętej miłości, żąda Stefanja od Hermana jednej wielkiej, większej może niż siły ludzkie pozwalają ofiary. Pragnie by wrócił na drogę obowiązku, by przygarnął i uznał biedną, wzgardzoną małżonkę, którą dla tego tylko odepchnął, że nie znał jej miłości i poświęcenia, że dał się zaślepić nierozsądnej dumie i próżności. Po długich walkach wewnętrznych, Herman, posłuszny jak dziecko, przystaje na wszystko i zgadza się wrócić do żony, wyrzekłszy się najukochańszych swych marzeń. Tego tylko czekała Stefanja, by objawić nawróconemu i poprawionemu Hermanowi, że ona sama jest właśnie tą wzgardzoną Eliną. Reszty czytelnik się domyśli.



Części składowe przyrządu do zamykania tłomoków. (str. 75, szp. 2).



Kufer opatrzony przyrządem do zamykania—(str. 75 szp. 2).

Na tem właściwie powieść się kończy i jeżeli można jej co zarzucić, to przedewszystkiem cudowną przemianę szpetnej Eliny w piękną Stefanją, w której nawet mąż własnej żony swej nie poznał. Lubo z drugiej strony wyznać należy, iż są takie natury nadewszystko niewieście, które w wieku młodzieńczym zadziwiającym nieraz ulegają zmianom. Zresztą Herman żony swej prawie nie widział, tak jej nie lubił, i dopiero w Stefanji począł ją kochać.

Obok tych dwóch głównych postaci, znajdujemy tu klika figur drugorzędnych nie mniejszy obudzających interes. Pierwsze miejsce pomiędzy niemi zajmuje Jakób, szlachetny i wzniosły charakter, istny ideał mężczyzny, jak Stefanja jest ideałem kobiety. Obok niego stoi nadobna Helfryda, którą miłość ku Jakóbowi i wpływ Stefanji, z dumnej arystokratki przemieniają w najszlachetniejszą dziewicę. Wcale natomiast niesympatyczną lubo wiernie skreśloną postacią jest stara hrabina Romarhierta, matka Hermana i Helfrydy, która nawet w chwili zgonu nie traci przesądów arystokratycznych. Co do samego przekładu powieści, jest on dokonany dobrze i umiejętnie i czyta się z wielką przyjemnością, o czem spodziewam się, sami czytelnicy zaświadczą.

M. K.

ROZMAITOŚCI.

— **Kassa zaliczkowa** założona została w osadzie Białogonie pod Kielcami przez rzemieślników tamtejszych. Każdy członek składa po rs. 15 bądź od razu, bądź ratami miesięcznemi — a prócz tego rubla wpisowego. W miarę znajdujących się w Kassie pieniędzy, członkowie Kassy mają prawo zaciągać w niej pożyczki dwal ub trzy razy przenoszące jak udział w kassie złożony. Nadto Kassa ma prawo zaciągać pożyczki od nie członków Kassy i wypożyczone pieniądze pożyczać znowu swym członkom. Za wszelkie długi kassy i wszelkie jej straty wszyscy członkowie Kassy za solidarnie z całego majątku odpowiedzialni. Zyski zaś kassy rozdzielają się między członków kassy. Zarząd Kassy zostaje w ręku Starszego i Skarbnika, obydwóch wybranych przez członków i z grona członków. Oby pomyślność towarzyszała tej pierwszej u nas kassie zaliczkowej dla rzemieśników.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.